

Jerzy Gumowski

część II z III

Sygnatura notacji: **N0489**

Data urodzenia: **28.09.1956 r.**

Data nagrania: **24.10.2023 r.**

Miejsce nagrania: **Dom Świadka, Warszawa, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 50 min, część II: 54 min, część III: 27 min.**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Jerzy Gumowski: Oczywiście ja w międzyczasie w tej pracowni, tu nad moim mieszkaniem, dostawałem jakieś awaryjne zlecenia, np. okazywało się, że ciemnia, która produkowała „Tygodnik Solidarność”, że coś z nią jest nie tak, że albo się musiała ukryć, albo musiała się zamknąć na chwilę. Wtedy dostawałem zlecenie na robienie klisz dla „Tygodnika Solidarność”. I to było dosyć często. Miałem kiedyś też taki... Teoś był w pewnym momencie stanu wojennego aresztowany, więc ja musiałem... Znaczący, dowiedziałem, że jest aresztowany. Ja dowiadywałem się to od tej mojej przyjaciółki Ewy Brykowskiej-Linieckiej, to ja musiałem całą pracownię sprzątnąć i musiałem znaleźć miejsce, gdzie ja mógłbym dalej robić „Wiadomości” np. dla... pisma i dla Jadzi. I wtedy, to było dwa czy trzy razy taka sytuacja i wtedy pomógł mi w tym mój w tamtych czasach przyjaciel, człowiek, który mieszkał tutaj w tym domu na parterze pod numerem 1, niejaki Maciej Kobyliński, syn Szymona Kobylińskiego, rysownika. Wtedy Maciek przyjeżdżał tutaj swoim samochodem, zabieraliśmy powiększalnik, kolumnę reprodukcijną, kuwety, chemię w butelkach i wiem, że dwa razy zawiózł mnie nie do tego samego swojego znajomego, ale do jednego znajomego na Żoliborzu, potem do jednego na Mokotowie i on udostępnił mi ten na Żoliborzu piwnicę, ten na Mokotowie garaż. Ja tam mogłem w ciągu 2–3 godzin przygotować ten materiał, a cały sprzęt zostawić u Maćka. No i to było w momentach, kiedy było duże zagrożenie. Po już stanie wojennym i po paru latach ja zacząłem śledzić, na ile ja byłem zagrożony. I okazało się, to jest gdzieś opisane, że esbecja wiedziała, że na Saskiej Kępie istnieje pracownia, która zajmuje się produkcją druków ulotnych. Ale nie tylko, wiedziała, że tą pracownię prowadzi ktoś, kto ma pseudonim „Guma”. A ja byłem od dziecka „Gumą” ze względu na nazwisko. I też przeczytałem, że esbecja źle wytypowała, kto jest tym „Gumą” i wytypowała na „Gumę” starszego fotografa, który mieszkał gdzieś na ulicy Międzynarodowej.

Artur Kłus: Tomasza Michalaka.

Jerzy Gumowski: Tak.

Artur Kłus: Świętego fotografa.

Jerzy Gumowski: Tak. Gdzieś to wyczytałem.

Artur Kłus: W książce Ramotowskiego?

Jerzy Gumowski: A, bardzo możliwe. No w każdym razie tam wynikało z tego wszystkiego to, że do mnie nie mieli szans trafić. No i jak się skończył Okrągły Stół, to zostało zwołane zebranie takim trochę szeptanym telegramem fotografów warszawskich, ale nie tylko, do siedziby Komitetu Lecha Wałęsy, który był przy Teatrze Wielkim. I tam przyszło kilkunastu fotografów z całej Warszawy, ale przyszedł też późniejszy chyba szef zarządu „Gazety Wyborczej”, Piotrek Niemczycki, o pseudonimie „Czarny”. Piotrek Niemczycki przyszedł i porozglądał się po tych fotografiach i podszedł do mnie i się z mnie zapytał, czy ja nie chciałbym pracować dla „Gazety Wyborczej” i nie chciałbym zacząć organizować działu fotograficznego tej gazety. Ja mówię, że oczywiście i powiedział, żebyśmy przyszli w takim razie na ulicę Iwicką i na tej Iwickiej się spotkali. No i na Iwicką przyszło sześciu fotografów. I tam żeśmy się spotkali i w piaskownicy, żeśmy podejmowali debaty, co, jak, w którą stronę, jak iść, kiedy zdjęcia zaczynamy robić. „Gazety Wyborczej” jeszcze wtedy nie było, bo to było przed 4 czerwca, ona się organizowała. No i ta sześciuosobowa grupa... Ja zresztą od Piotra Niemczyckiego dostałem takie zapytanie w piaskownicy, czy ja nie chciałbym zostać szefem tej całej sześciuosobowej grupy i czy nie chciałbym poprowadzić, bo nie wiem skąd, ale Piotrek Niemczycki po pierwsze wiedział, że ja byłem działaczem podziemia i że zajmowałem się fotograficznymi sprawami. Po drugie wiedział, że ja miałem taką profesjonalną, rzemieślniczą, zarejestrowaną pracownię fotograficzną, co potem mi powiedział, że to skusiło go do tego, żeby się zapytać, czy ja bym się nie zajął organizacją tego działu foto, no bo jako rzemieślnik i człowiek, który ma swoją firmę, wiem, jak to zrobić. Ja niestety w tamtym czasie byłem bardzo głodny fotografowania i ja jemu odmówiłem, bo ja w czasie stanu wojennego nie fotografowałem praktycznie żadnych rzeczy poważnych dla pism, bo uważałem, że praca dla „Trybuny Ludu”, „Sztandaru Młodych”, czy „Życia Warszawy” to jest po prostu tragedia, że tam pracują komunistyczni działacze, a ja z nimi walczę. A nie będę fotografował po to, żeby moje nazwisko było widziane na łamach ówczesnej prasy, zarówno dziennej, jak i miesięcznej, jak i tygodników. Więc byłem strasznie głodny fotografowania, normalnego fotografowania prasowego, normalnej prasy, fotoreportera i odmówiłem. Powiedziałem Piotrkowi, że nie, że ja chcę fotografować, że to mnie bardziej interesuje, bo ja jeszcze muszę się nauczyć tego fotografowania. I o czym nie powiedziałem przed tym wszystkim, to o tym, że w stanie wojennym jeszcze w latach 70-tych ukończyłem tzw. Studium Fotografii SPAF. I to Studium Fotografii SPAF, po ukończeniu teoretycznych i praktycznych zajęć, fotografowie ci, którzy byli aktywni zawodowo w tamtym czasie, wybierali sobie grupę swoich młodych fotografów, których dalej w swoich pracowniach ciągnęli i uczyli tego zawodu, czy tej pracy, czy tej sztuki fotograficznej. I mnie wyciągnęła do siebie do pracowni Irena Jarosińska, jedna z lepszych polskich fotoreporterów lat 50-tych, 60-tych i końca lat 70-tych. U niej w pracowni na ulicy Orlej mieliśmy swoje wystawy, swój klub dyskusyjny. Było nas tam chyba z siedmiu czy ośmiu. My tam się spotykaliśmy na winienko, spotykaliśmy się ze swoimi zdjęciami, żeby

omówić. Wtedy zajmowałem się fotografią na pograniczach sztuki. Ta Irena Jarosińska zresztą brała nas w plener do swojej wspaniałej leśniczówki, która się nazywała „Grobka” i była w okolicach Niedzicy, w bardzo gęstym, starym lesie. Taka polniwiecka leśniczówka, w której nie było kanalizacji, prądu, były lampy naftowe, była studnia na wodę. Takie bardzo ciekawe czasy były. No ale jak wybuchł stan wojenny, to ja oczywiście chciałem się z tymi ludźmi spotkać, z tą całą grupą Jarosińskiej. Spotkaliśmy się i zaczęliśmy się zastanawiać, co z tym stanem wojennym zrobić. Ja mówię – Słuchajcie, zaczniemy wypuszczać podziemne pismo fotograficzne. Nie będziemy określać, kto je prowadzi, jakimi nazwiskami, nie będziemy żadnymi nazwiskami podpisywać zdjęć, ale będziemy pisać o wolnej fotografii. No i niestety, ja do dzisiaj nie bardzo wiem, dlaczego, ale Irena Jarosińska się na to nie zgodziła. Powiedziała, że ona w to nie wchodzi i że ona nam to odradza, bo to jest niebezpieczne. No i przez to spotkanie to wszystko, co było związane z Ireną Jarosińską, się rozpadło kompletnie. Więc ja już wtedy przestałem, znaczy, już nie uprawiałem tej fotografii, co cały stan wojenny z Jarosińską. I w Gazecie zaczęło mnie fascynować to, że oto nagle mamy jechać robić twarze ludzi „Solidarności”, że mamy jechać robić Lecha Wałęsę, że mamy fotografować wydarzenia, demonstracje na ulicach. Jedną z takich demonstracji był np. 4 czerwca – demonstracja pod ambasadą Chińską dotycząca wydarzeń na placu Tiananmen. Zresztą te zdjęcia ostatnio zaistniały w Muzeum Historii Warszawy, która zrobiła wystawę i te moje zdjęcia wykorzystala na tej wystawie. No i tak się zaczęła praca w Gazecie. Ta praca w Gazecie, która była bardzo dynamiczna, która była pracą znakomitą, która strasznie dużo mnie nauczyła. Ja dzisiaj trochę żartobliwie mówię, że to była najlepsza agencja turystyczna, ta „Gazeta wyborcza”, bo dzięki niej ja zwiedziłem no nie cały świat, ale zwiedziłem Meksyk. Zwiedziłem – byłem w Meksyku przez miesiąc, w mieście Ciudad Juárez. Dzięki temu wyjazdowi do Meksyku byłem zresztą u mojego wujka, o którym na początku mówiłem, Jacka, w Chicago. Byłem w Kazachstanie, byłem w całej Europie, jeżdżąc za Adamem Małyszem, ale nie tylko. Byłem w Afryce, w Mali, na miesięcznej wyprawie wspinaczkowej na górę, która się nazywa Ręka Fatimy. Dzisiaj wyjazd do Mali byłby niemożliwy. Wtedy jak wyjechałem, to byliśmy w grupie kilkuosobowej, w tym wspinacze ci właściwi, bo ja się nie wspinałem, ja tylko miałem to dokumentować. No, ale żeśmy to Mali też zwiedzili, bo oprócz wspinania mieliśmy wycieczki po okolicach i to takich dalekich, do miasta Mopti, nad rzekę Niger, do miasta Gao. Dziś tam niestety islamscy by na nas polowali. No, ale też... Skandynawię całą nie tyle zjechałem, ale byłem w wielu miejscach w Skandynawii. W Norwegii, w Finlandii, w Szwecji, przez parę dni w Sztokholmie na meczu reprezentacji Polski, w Hiszpanii, w mieście Ciclane de la Frontera, gdzie polska reprezentacja piłki nożnej uczyła się grać w golfa. W Gazecie byłem do 2009 r., czyli praktycznie... Ale w międzyczasie, czyli mniej więcej w roku 1992 ja przestałem z Gazetą współpracować, z jakichś tam powodów. Najprawdopodobniej z takich, że nie mieliśmy wszyscy umowy o pracę, tylko byliśmy na tzw. samozatrudnieniu, co było wtedy zupełnie nowe, a ja tego jakoś nie akceptowałem. I z Gazety przeniósłem się do „Życia Warszawy”, którego redaktorem naczelnym był wtedy Kazimierz Wóycicki. A działem foto zarządzała Ania Pietuszek, fotografka, późniejsza też uczestniczka w wystawach o fotografkach polskich. No i wybuchła wtedy wojna na Bałkanach i Kazimierz Wóycicki zdecydował, że ja razem z dziennikarką „Życia Warszawy”, Joanną Krawczyk, mamy jechać w pierwszym konwoju Equilibre, który prowadziła Janina Ochońska, mamy jechać do Sarajewa. Sarajewo było wtedy miastem oblężonym, bez prądu, bez wody, tam ciągle ludzie ginęli. No i ponieważ jechał z nami w tym konwoju dziennikarz radiowej Trójki, Tomasz Kowalczewski i on miał swój samochód służbowy, więc my żeśmy się przesiedli z całego konwoju do tego Tomasza Kowalczewskiego, wyprzedziliśmy konwój, dojechaliśmy do Splitu, gdzie znajdowało się lotnisko sił pokojowych ONZ, czy NATO wtedy, nie pamiętam już, chyba ONZ. Na tym lotnisku można było wyrobić sobie przepustkę do Sarajewa właśnie i z tą przepustką wpuszczano nas do samolotu, na ogół była to Casa albo Herkules

i tym samolotem leciało się do Sarajewa i potem tą samą drogą się wracało do Splitu, choć nie zawsze, bo czasami było tak, że ten samolot nie mógł polecieć do Splitu, musiał lecieć do Zagrzebia. Też do miejsca, gdzie stacjonowały wojska ONZ-owskie. No ale tą metodą cała nasza trójka, a do tego jeszcze dziennikarz telewizyjny i kamerzysta, dostaliśmy się do Sarajewa, więc też odczułem, czym jest ta wojna trochę i jak ta wojna wygląda. Potem, jak żeśmy z Sarajewa wyjechali, to zaczęliśmy przez Słowenię przechodzić na tereny chorwackie i dostaliśmy się do miasta Kmin, który był w takiej enklawie serbskiej, gdzie też oczywiście panowała wojna. Tam już było dosyć niebezpiecznie, bo Serbowie nie chcieli z nami grzecznie rozmawiać, że tak powiem. Ale to wszystko się udało. Te wspomnienia to są na następna wielką opowieść, więc ja tylko tak fragmentami przypominam. Potem w 2009 r. złożyłem w „Gazecie Wyborczej” wypowiedzenie, bo firma zaczęła się drastycznie zmieniać. Przestała być przyjaznym pracownikowi miejscem, w którym dookoła są sami przyjaciele, ludzie życzliwi, mądrzy, z którymi człowiek się może dogadać, a zaczęła przyjmować takie formy działalności korporacyjnej i to na wzór korporacji takich amerykańskich, gdzie pracownik jest na ostatnim miejscu, gdzie liczą się nakazy, rozkazy, protokoły, zależności. No i w takim kotle wszyscy mali ludzie, którzy chcą zrobić karierę, robią straszne rzeczy innym. Ja już się z tym przestałem zgadzać. Ta atmosfera tej korporacyjności zaczęła się w jakimś 2007 r., czyli te 2 lata testowałem, co się będzie działo. No ale po 2 latach już nie wytrzymałem i przed otwarciem wystawy dwudziestolecia działu fotograficznego „Gazety Wyborczej” w Zachęcie warszawskiej ja złożyłem na ręce mojego szefa Piotra Wójcika wypowiedzenie i przeszedłem jako zastępca szefa działu fotograficznego do „Rzeczpospolitej”. No i w „Rzeczpospolitej” pracowałem do momentu przyjścia pana Hajdarowicza. Przyszedł pan Hajdarowicz, to zaczęły się tam robić czystki. No i po dostaniu wypowiedzenia, bo już w „Rzeczpospolitej” dostałem wypowiedzenie, właściwie nie zajmowałem się fotografią prasową. Wygrałem parę przetargów na jeden precudowny przetarg, paroletni. Trzy lub cztery lata był realizowany. To był przetarg na realizację czegoś, co się nazywa Green Velo. Wtedy to było w budowie, a była to trasa rowerowa na wschodniej części Polski, która miała połączyć Przemyśl z Gdańskiem. Ta trasa powstała, ona jest, można na rowerze przejechać z Przemyśla do Gdańska po ścieżce rowerowej albo po szutrowych drogach jak w Puszczy Białowieskiej na przykład. No a ja miałem zadanie główne, miałem wielki spis, wielką listę miejsc, które na Podlasiu i na Lubelszczyźnie trzeba będzie sfotografować. Więc to była taka praca, że raz w miesiącu wyjeżdżało się z domu na tydzień w jakieś miejsca z zaplanowanymi miejscami fotografowania. I te fotografie miały powstawać: wiosna, lato, jesień, zima. Np. Puszcza Białowieska w zimowej szacie. Niestety ze względu na to, że się trochę klimat nam zmienił, trafiłem tam na zimową szatę dzięki Adamowi Wajrakowi, który do mnie zadzwonił i mówił – Słuchaj, pada śnieg, przyjeżdżaj natychmiast. I to był jedyny opad śniegu w tamtym czasie w Puszczy Białowieskiej. Ja zdążyłem przyjechać rano, kiedy śnieg był jeszcze był na drzewach i zrobić swoją dokumentację zimowej Puszczy Białowieskiej, bo już pod wieczór tego śniegu nie było. No i to tyle. Takich opowieści fotograficznych mógłbym mieć jeszcze bardzo dużo, ale najważniejsza jest ta chyba z dzisiejszej mojej perspektywy, najważniejsza jest ta dotycząca działalności w stanie wojennym. To mógł być 1983 r. Tak mi się wydaje, ale z datami mam duże problemy.

Artur Kłus: Pan wspominał może jakiejś kwestie demonstracji, manifestacji?

Jerzy Gumowski: To się wiąże trochę z Teodorem Klincewiczem i z tymi zasadami, które on budował Grupy Oporu Solidarni, czyli tą zasadą stworzenia czegoś na wzór Kedywu Armii Krajowej. Bo jak to już wszystko zostało skonstruowane przez niego, to on przyszedł tutaj na Aldony do mnie do mieszkania. Bo też, co jest ważne, ja nigdy nie cho-

dziłem w miejsca, gdzie on przebywał. Jedyny kontakt, jaki z nim miałem to przez moją przyjaciółkę Ewę Brykowską. Teoś przyszedł i przeprowadził ze mną taką poważną rozmowę, mówiąc mi, że od momentu, kiedy on ze mną współpracuje, ja mam pełny zakaz uczestnictwa w jakichkolwiek demonstracjach, w jakichkolwiek ulicznych zdarzeniach, w jakiegokolwiek fotografowanie działań podziemnych, np. akcji ulotkowych, że mnie po prostu nie ma na takich imprezach. Bo przypadkowo, jak mnie złapią, może być z tego straszny smród później. Teoś kategorycznie zakazał udziału w jakiegokolwiek demonstracji, w jakichkolwiek ulicznych obserwacjach tego, co podziemie wyprawia, np. rozrzuca lotki. I ja miałem się tego sztywno trzymać. Ja miałem nie wychodzić z domu, jak się coś na mieście działo. Ale oczywiście było tak, że jak 3 maja 1982 r. lub 1983 r., przepraszam, ale z datami mam problemy, Warszawa wyszła na ulicę, a była to największa z demonstracji, największe ze starć między milicją a solidarnościowymi grupami, to ja byłem, byłem na Starym Mieście. Na Starym Mieście uciekałem przed zomowcami, którzy gonili mnie z pałami z kościoła św. Marcina do Katedry. I w Katedrze ludzie się gromadzili i się schowali. I z Katedry św. Jana zomowcy tam pałowali, ale tych, co się nie zmieścili do środka. Mi się udało wbiec i wlecieć do środka, tak że nie ucierpiałem na tym. A potem z tego św. Jana wszyscy, którzy tam byli, wyszli i poszli w stronę Nowego Miasta. Potem poszli na plac Krasińskich. Przy placu Krasińskich się odłączyłem i poleciałem w stronę Śródmieścia, żeby znaleźć jakąś komunikację do domu. Zdaje się, że autobusem normalnym udało mi się dojechać na Saską Kępę, czy na rondo Waszyngtona. Opowiadałem żonie, co się działo, jak się działo, co było i potem przez otwarte okno, tu w tym pokoju, usłyszałem, że coś się dzieje od ronda Waszyngtona, że są jakieś krzyki, jakieś wrzaski. Wybiegłem na ulicę, poleciałem ulicą Aldony do ulicy Walecznych, z Walecznych na ulicę Francuską i zobaczyłem, że idą demonstranci z flagami, ze sztandarami, krzyczą „Solidarność” i też poszczególni ludzie mówią, że idą pod ambasadę niemiecką, żeby się pokazać, że są, że taka demonstracja się odbyła. Gdy doszli do ulicy Walecznych, to od strony ronda Waszyngtona zaczęły przyjeżdżać samochody zomowców. Wtedy demonstranci zatrzymali autobus 111, który wyjeżdżał z ulicy Walecznych na Francuską, ale nie skręcił w stronę ronda, tylko się zatrzymał w poprzek ulicy Francuskiej. No i zrobiła się z niego barykada, z tego autobusu. Wszyscy się za nim schowali, ale też w pewnym momencie, ja idąc w dół rzeki Wisły, byłem po prawej stronie ulicy Francuskiej, tuż przy rogu z Walecznych i wtedy usłyszałem, że zaczynają strzelać. Ja do dzisiaj tego nie zweryfikowałem, ale na tamte czasy ja usłyszałem i zobaczyłem, jak kule rozbijają szyby w autobusie i jak te kule wbijają się w blachę w autobusie. Ja byłem pewny i do dziś mam te swoje fotograficzne obrazy, że to były ostre naboje. Nie wiem, czy ktoś z historyków napisał o tym, potwierdził to, czy to jest znana historia, czy nie. Nie wiem tego, ale wiem, że za tym autobusem jedna z dziewczyn dostała w nogę. Tylko też nie wiem, czy kulą, czy dostała w nogę kamieniem. W każdym bądź razie czterech ludzi ją wzięło na ręce i wbiegli w stronę ulicy Poselskiej, ulicą Walecznych i tam, gdzieś pewnie ogródkami. No a ja dobiegłem tu niedaleko stąd na róg ulicy Francuskiej i Obrońców i tam stał sobie może 10, może 12-letni chłopak, który był ubrany w taką bordo kurtkę i miał tak wypchaną całą tą kurtkę. Ja mówię – Co tu robisz dzieciaku, skąd ty tu jesteś? A on mi mówi – A bo ja z obrońcami idę od Dworca Wileńskiego. Użył takiego sformułowania, co jak na takiego młodego chłopca i na to, co się działo było niebywale takim wymownym stwierdzeniem. On idzie z obrońcami. No ja mówię – To chodź, szybko się chowamy, bo zomowcy lecą. Ja cię zabieram do mnie do domu, tam dostaniesz ciacho i dobrą herbatkę. No i on się zgodził, poszliśmy, tu była wtedy jeszcze moja matka. I matka zrobiła mu herbatę, mieliśmy jakieś ciasto, dostał, ale nie chciał tej kurtki zdjąć. Ja mówię – Chłopie, no musisz zdjąć, bo tu jest w domu gorąco, się zgrzejesz i będzie niedobrze. No i on tą kurtkę rozpiął i z tej kurtki wyleciało to właśnie. Ta flaga, którą on musiał gdzieś jakoś tam zdobyć. Ale to nie było wszystko, ponieważ spod jego kurtki wyleciała też czapka milicjanta z jakimś dużą szarżą. Ja już nie wiem, czy on był podporucznik, czy on był porucznik.

Ja się pytam tego chłopaka – A skąd ty tą czapkę masz? A on mówi – Bo obrońcy pogonili tego milicjanta i jemu z głowy spadła, to ja zabrałem sobie. I to taka była przygoda, która mnie niebywale optymistycznie nastawiła do tego, co jest wokół mnie. Oto taki dwunasto czy tam dziesięcioletni chłopiec ma takie myślenie o tym, co się dzieje. Skończyło się to tak, że czapkę nie dał sobie zabrać, flagę dał sobie odebrać. Wsiadł razem z moją matką do jej malucha, Fiata 126P i matka zaczęła go odwozić do miejsca, gdzie on mieszka. Ale nie mogła wyjechać z Saskiej Kępy, bo nie było wyjazdu. Jedyne wyjazdy z Saskiej Kępy były wyjazdami przez ulicę Saską. A na ulicy Saskiej była blokada zrobiona przez zomowców. No i jak matka pojechała z tym chłopczykiem, to musiała przez tę blokadę przejechać. Oni zaczęli ją sprawdzać. Dziecka nie dotykali, ale zaczęli sprawdzać bagażnik, co jest za siedzeniami, co jest pod siedzeniami itd. I na sam koniec pałami ten jej samochód spałowali, matki nie ruszyli, ale samochód pałami potraktowali. No i to była taka historia mojego złamania zasady niewychodzenia na demonstrację. Stało się tak, że po stanie wojennym, już parę lat po tym, w momencie, kiedy prezydent przyznał mi Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, ja się dowiedziałem od Grzegorza Jaczyńskiego, który był prawą ręką Teodora Klincewicza, że Teodor uważał, że ja jestem szefem działu legalizacji Grup Oporu Solidarni. Oczywiście w tamtych czasach, czyli w czasach działalności, nikt mi tego nie mówił. A wynikało to stąd, co też Grzegorz Jaczyński mi potwierdził, że główne prace przy legalizacji związane np. pieczętkami z dowodami osobistymi, główne prace przechodziły przeze mnie. Potem np. dowód osobisty, do którego ja robiłem kliszę światłoczułą, trafiał do Jacka Eberta. Podejrzewam, że Jacek Ebert wykonywał tę pracę, która była związana z dokończeniem tej pieczęci na zdjęciu. Czyli miał wzór, jak ona wyglądała oryginalnie, a potem albo tworzył nową pieczętkę i ją przykładał, albo on był grafikiem, jest do tej pory grafikiem, zresztą bardzo wybitnym grafikiem. Więc potrafił domalować na zdjęciu resztę pieczętki. No ale Jacek już się nie zajmował takimi rzeczami jak pieczęcie Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej, nie zajmował się takimi właśnie całą tą resztą rzeczy. Ja wiem, że ja robiłem też inne pieczęcie. To nie tylko dla Komendy Głównej, ale już dzisiaj nie pamiętam jakie. Bo ja czasami wchodziłem do ciemni o godzinie 15:00, a wychodziłem o 3:00 w nocy, robiąc te rzeczy. A jak się je robi, to człowiek nie do końca patrzy, co to jest, jakie to jest, nie pyta się, po co to jest, tylko robi się, żeby było jak najlepsze odwzorowanie i jak najlepiej to wyglądało. Ten jeden milicjant, który ja pamiętam, jak tworzyłem, bo do niego jest cała historia, czyli jest ta opowieść o przyjeździe tych kacyków wszystkich jednego dnia o jednej godzinie. I ta historia powoduje, że ja pamiętam, że takie coś robiłem, ale już historii innych rzeczy nie mam. Nie wiem, do czego były używane, nie wiem, czy tam zaświadczenia lekarskie jakieś nie były robione, czy zwolnienia lekarskie, no po prostu nie pamiętam, bo nie znam dalszego biegu tych wszystkich rzeczy robionych. Jediną osobą poza moją pracownią, która zajmowała się częściowo legalizacją, był właśnie Jacek Ebert. O Jacku Ebercie dowiedziałem się w momencie odbierania Krzyża Kawalerskiego. Bo spotkaliśmy się, a znaleźliśmy się przez Ewę Brykowską wcześniej, jeszcze z czasów przed stanem wojennym. On wiedział, kim ja jestem, ja wiedziałem, kim on jest. Nawet chyba kiedyś parę razy na tzw. prywatkach u Ewy Brykowskiej żeśmy się widzieli. Ale o tym, że część mojej pracy trafiała do Jacka Eberta, to ja się dowiedziałem od niego samego, przy odbieraniu Krzyża. I o tym, że on w ogóle działał w Grupach Oporu i że w ogóle był w podziemnych strukturach, też się dowiedziałem wtedy. Czyli już długo, długo lat po Okrągłym Stole. Ja mam taki epizod w swoim życiu, mianowicie na okres trzech miesięcy przerwałem pracę tutaj w ciemni, ponieważ moja siostra już dużo wcześniej przed stanem wojennym wyjechała z Polski i zamieszkała we Francji, więc ja dostałem od niej zaproszenie do Francji i postanowiłem tam pojechać do pracy, żeby zarobić parę groszy. Powiedziałem to Teosiowi. Teoś mi wtedy dał tzw. gryps do niejakiego Tomasza Łabędzia, który zajmował się we Francji pomocą dla „Solidarności”. I dał ten gryps i też dał mi spis rzeczy, które są potrzebne. I m.in. w tym spisie były potrzebne błony graficzne właśnie dla mnie,

m.in. Ale też były powielacze, był jakiś papier, były tusze i takie inne rzeczy. Ja się z Tomaszem Łabędziem spotkałem w Paryżu dosłownie na pół dnia i jedną noc, przekazałem to wszystko od Teosia, przekazałem to jego zapotrzebowanie na rzeczy potrzebne do działalności podziemnej. Czy Tomasz się z tego wywiązał, czy te rzeczy dotarły do Teosia, tego nie wiem. Bo też nigdy się nie dopytywałem, bo im mniej się miało wiedzy o czymś, co się działo w podziemiu, tym było lepiej po prostu. Ale błonę graficzną dostawałem od Teosia, rzeczywiście firmy Dupont. To była jedna z najlepszych firm produkujących te błony. Ale też dostawałem od Jadzi, która była łączniczką z „Wiadomościami”. Ale był taki moment, w którym zabrakło tych błon. Ja już byłem na wykończeniu, już mi nie starczało na taką cotygodniową produkcję. Ale na szczęście obok mnie, na tym samym piętrze w tym budynku, w którym my jesteśmy teraz, mieszkał mój sąsiad, którego nazwiska nie wymienię. Sąsiad był wtedy pracownikiem Domu Słowa Polskiego, gdzie była wielka drukarnia, największa chyba w Polsce drukarnia i on tam pracował jako robotnik fizyczny. Ja kiedyś mu powiedziałem, że potrzebuję takich błon – Czy ty byś tam u siebie nie poszperał i nie załatwił? No i on mi załatwił dwie koperty po chyba 50 sztuk w każdej, błony graficznej firmy Fotopan, czyli polskiej produkcji, w rozmiarach 50x60 cm. Więc to, co on mi załatwił, a załatwił, tzn. ukraść w swoim miejscu pracy i wynieść. Ja mu nie mówiłem nigdy, że się przyczynił dość znacznie do działalności podziemnej. No ale to, co mi przyniósł, to starczyło na parę lat. I miałem taki zapas, którego oczywiście nie trzymałem w ciemni na górze, tylko był tutaj w domu ukryty pod łóżkiem. Jedyny kontakt na Grupę Oporu, jaki ja miałem, to miałem kontakt z Teosiem. Z Teosiem i z Ewą. No Ewa nie tworzyła tych rzeczy. Ona tworzyła swoje grafiki, jak już mówiłem, i znaczki pocztowe, i pocztówki. No a Teoś przestał do mnie przychodzić, bo siedział. Potem jak wyszedł, te kontakty były dużo bardziej ograniczone z nim. On też jakby nie chciał mnie narażać na to, żeby nie odkryli, że moja pracownia nadal funkcjonuje i pracuje. Bo to jego zamknięcie, ja chyba po dwóch tygodniach od jego zamknięcia wróciłem tu na górę, bo się okazało, że nie mam ani ogona za sobą, a poza tym z Ewą rozmawialiśmy, że Teoś miał jeden błąd, bo on miał przy sobie kalendarzyk, w których miał pozapisywane różne rzeczy. No ale doszliśmy do wniosku, że jeżeli by się esbecja do czegoś dokopała, to już dawno byłiby u nas w domu. I że przez długi okres czasu ja sprawdzałem, czy nie mam jakichś ogonów za sobą, czy ktoś za mną nie chodzi. Ale miałem jeden bardzo śmieszny przypadek, mianowicie ta Jadzia powiedziała, że ona nie będzie mogła być w środę i zostawić materiału do „Wiadomości”, żebym ja w środę o godzinie 18:00, a to była już zima, nie wiem którego roku, żebym ja poszedł na rondo Waszyngtona i tam na przystanku autobusowym w stronę Pragi będzie na mnie czekał człowiek, który będzie stał przy łańcuchach i będzie się patrzył na zegarek. Ja mam do niego podejść i zapytać się go, która godzina. A on miał mi wtedy odpowiedzieć, że tam 19:00, nie ta, co była godzina, tylko jakąś zmyśloną, 19:00 czy 23:00. Ale miał konkretnie, ja już nie pamiętam, czy 23:00, ale zakładam, że 23:00. No i ten człowiek, jak ja się pokazałem na tym przystanku, to się przygląda, mówię: rany gościa, to już od razu widać, kto to jest, to ja się nie muszę pytać o niego. Ja od razu wiem, że to jest człowiek, który czeka na mnie. Podchodzę do niego, pytam się – Która jest godzina, przepraszam bardzo? A on mówi tak – Ku..., ja zapomniałem, co ja miałem odpowiedzieć, ale to jestem ja. No i działalność konspiracyjna tak też wyglądała. [Teoś] Straszny gaduła, w tym sensie, że jak już żeśmy rozmawiali, to rozmawialiśmy o wszystkim. Człowiek, który dużo opowiadał też o swojej rodzinie i przeszłości. Człowiek, który był ciepłym człowiekiem, takim bardzo sympatycznym, ale jednocześnie było widać po nim, że jest tak głęboko zakorzeniony w swoim antykomunizmie, że on tym po prostu promieniował, aż się chciało z nim współpracować. Bo był też człowiekiem, z którym ja już po stanie wojennym współpracowałem, jak on był szefem tygodnika „Solidarność Mazowska”. Ja tam publikowałem zdjęcia, oni np. opublikowali dodatek do tego tygodnika w postaci takiej dużej, drukowanej kartki, na której był mój reportaż z rozbiórki pomnika Dzierżyńskiego. „Tygodnik Mazowsze”. I tam do „Tygo-

dnika Mazowsze” też przynosiłem spore ilości swoich zdjęć, które robiłem dla Gazety, ale bocznie dawałem Tygodnikowi. Np. z demonstracji w sprawie Placu Tiananmen. I tam pracował też Grzegorz Jaczyński. I tam niestety nimi opiekował się późniejszy agent, czy właściwie wcześniejszy agent, niejaki Michał Boni. Ja mam gdzieś zdjęcia z „Tygodnika Mazowsze”, gdzie właśnie siedzi Grzegorz Jaczyński, Teoś Klincewicz i Michał Boni i debatują nad tym, jak to pismo ma wyglądać. Potem z Teodorem byłem na drugim zjeździe „Solidarności” w hali w Oliwie, skąd pochodzi najbardziej znane zdjęcie Teosia, które jest mojego autorstwa, jak Teoś tak siedzi z taką ręką. To takie najbardziej eksploatowane zdjęcie, zarówno przez Grupy, jak i było nadawane imię Teosia akademikowi, to to zdjęcie było na całą długość ściany tego budynku. Ja nie wiem dlaczego, ale ja miałem o nim takie mniemanie, że nawet jak on pójdzie siedzieć, to ja ze względów ostrożnościowych powinienem zwinąć pracownię, ale wiedziałem, że raczej nie ma szans, żeby on nawet jak będzie torturowany, żeby cokolwiek sygnął. No i tak się stało, bo mnie milicja nie namierzyła do końca, do Okrągłego Stołu. Ale teraz, też po latach, jak rozmawiam, jak się okazało, że jego współpracownik był tajnym agentem. Kotarski był tajnym agentem i zaczęliśmy się zastanawiać, dlaczego Teoś go trzymał, to najlepszym uzasadnieniem było to, że Teoś, on to komuś powiedział. Komuś, kogo ja spotkałem podczas wręczenia Krzyża Wolności i Solidarności. Teoś podobno jemu powiedział, że on woli mieć agenta pod ręką, na swoim oku, żeby go kontrolować, żeby patrzeć, żeby sprawdzać, co on robi, żeby patrzeć, co się dzieje, niż mieć w nim totalnego wroga. Bo jakby go wywalił z Grup i ogłosił, że jest agentem, to tamten by zaraz zaczął na Grupy nasyłać swoich esbeckich mocodawców. I nie wiem, czy to jest dobre wytłumaczenie, ale wydaje mi się, że ono jednak w jakiś sposób uzasadnia dobre myślenie Teosia. Czyli takie myślenie, które no nie każdy by wpadł na taki numer, żeby mieć konfidenta pod sobą. To wytłumaczenie akurat mi się bardzo podobało. Opowiadał mi o nich Teoś, jak do mnie przychodził. Np. opowiedział mi historię, że mają taką Grupę, która chyba w Poznaniu przygotowuje hacie na opony samochodowe i przygotowuje olej w beczkach, żeby wylać to wszystko i porzucić te hacie, jak zomowcy będą samochodami chcieli podjechać pod górkę. No i ja tak jak zawsze, jak mówię, Teoś mi takie rzeczy opowiada i mówi, że wylali, samochody nie podjechały, była afera. Ja na to patrzyłem z lekkim przymrużeniem oka w tamtych czasach, bo nie wiedziałem, jaka jest ta struktura Teosia, co on ją stworzył. Po ładnych paru latach dowiedziałem się, że tak, że takie działanie miało miejsce, taka akcja miała miejsce. I to, że nie w Poznaniu tylko w Warszawie na ulicy Książęcej. Jak się z Powiśla podjeżdża do placu Trzech Krzyży. I ktoś opowiadał, że takie coś rzeczywiście było. No ale teraz jak ja mam to zweryfikować? To musi zweryfikować dobry historyk, który w tym temacie siedzi, który rozmawia z dużą ilością ludzi. Ja wiedziałem, że Teoś ma też, że w Grupach Oporu... Tylko że ja np. nie wiedziałem w stanie wojennym, że ja jestem w strukturze Grupy Oporu „Solidarni”. Ja się dowiedziałem po stanie wojennym. Ale, że Teoś ma w strukturach Grup ludzi, którzy są szkoleni i którzy mają za zadanie ochronę demonstracji. Czyli mają być na czołe demonstracji i z tego czoła mają podejmować walkę z zomowcami. To jedno. A rzecz, która najbardziej mnie zaskoczyła, to człowiek, który miał pseudonim „Wariat”. Ja dzisiaj jego imienia i nazwiska nie pamiętam, ale spotkaliśmy się tam też na jednej z uroczystości Grup Oporu. I tak żeśmy gadali, gadali i on, ja wiem tylko tyle, że po stanie wojennym on miał olbrzymie problemy, bo u niego w domu znaleźli broń i to broń w dużej ilości. Ja sobie z nim pogadałem i okazało się, że on rzeczywiście był wyznaczony przez Teosia po to, żeby gromadzić broń dla całych Grup Oporu, żeby mieć w razie czego, jak się zacznie źle działać. M.in. oni, ta piątka z Grup Oporu, która działała przy gromadzeniu tej broni, oni mieli jakieś kontakty z Grupą Kampinoską, że była jakaś Grupa Kampinoska Grup Oporu, którzy w Kampinosie ćwiczyli właśnie strzelania i takie inne rzeczy. Ja od tego „Wariata” dowiedziałem się, że dla mnie też był przeznaczony pistolet, że on go miał. No i na pewno wiem, że po Okrągłym Stole on miał trochę nieprzyjemności, ale mu chyba Zbigniew Bujak pomógł

w tym, żeby z tego wyjść. Bo pierwotnie, jak wiadomo, Grupy Oporu miały być organizacją paramilitarną, tylko na to nie zgodził się Bujak i Region Mazowsze. Dlatego one się przekształciły w taką grupę ochraniającą demonstrację ulotkową, dlatego „gadały” tak zwane, czyli radia. No ale na całe szczęście przed Okrągłym Stołem, ja te wiadomości dostawałem od Teodora, który do mnie przychodził. O „gadale” np. naprzeciwko Rakowieckiej no to Teoś mi opowiadał. O ulotkach, które leciały z budynku PZU, róg Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej, Teoś mi opowiadał. No ale tak jak mówię, ja trochę z przymrużeniem oka w tym czasie tych opowieści słuchałem. Po latach one się zweryfikowały i okazały się prawdą i to taką legendarną prawdą i bardzo szlachetną. W tamtych czasach tacy ludzie jak Zbigniew Bujak, Władek Frasyniuk, Janas, a już przede wszystkim Lech Wałęsa, to dla mnie byli bohaterowie, byli bardzo ważnymi autorytetami. Jak wiadomo, czas weryfikuje różne rzeczy. W tych Dębkach, o których mówiłem wcześniej, na jednej z wydmy rósł sobie taki 150-letni dąb. I na tym dębie w stanie wojennym ktoś, kto przyjechał na wakacje do Dębek, powiesił na drucie dużą tablicę z wypalonym słowem WŁADEK. I od tego czasu wszyscy wiedzieli, że to jest dąb im. Władka Frasyniuka. Bo to w ogóle zrobili wrocławianie chyba ten napis. Czy poznaniacy? Wrocławianie. I wszyscy jak przychodzili – O, Frasyniuk. Siedem lat temu ten dąb nie wypuścił zielonych liści i zaczął się rozpadać. Spadła jedna gałąź, druga gałąź, po czym zaczął próchnieć i dzisiaj po tym dębie zostało bardzo niewiele. Ten główny pień, spróchniały leżący na ziemi. Tabliczki już dawno nie ma i ja tak dosyć symbolicznie na to patrzę, bo te autorytety z czasów stanu wojennego gdzieś w dzisiejszych czasach zaczęły się rozpuszczać. I całe np. życie Lecha Wałęsy ja nie mogę wyrzucić z siebie tego, jaki ja miałem stosunek do tego faceta. Bo dla mnie to był niebywale ważny bohater. To był przywódca. To był facet, który był jedną z najważniejszych postaci właśnie stanu wojennego. Ale po tym wszystkim, o czym dzisiaj wiemy, ja muszę sobie jego życie podzielić na trzy części. Tzn. na tego Lecha Wałęsę po 1970 r. w Gdańsku, na tego Lecha, który w Stoczni Gdańskiej poprowadził strajk, ten strajk objął cały kraj, na tego Lecha, który długopisem z Matką Boską podpisał Porozumienia, 21 porozumień gdańskich, na tego Lecha, który doszedł do prezydentury w Polsce i został prezydentem. Ale już od momentu, kiedy on rozpoczął tę prezydenturę, ja muszę go sobie wrzucić w trzeci widok tego człowieka. I jak patrzę na to, co on dzisiaj robi, jak on się dziś zachowuje, to go odrzucam od siebie. To jest człowiek, którego ja nie chcę go słuchać, nie chcę go obserwować. Dla mnie on będzie zawsze taką postacią okresu od wejścia do stoczni do okresu, kiedy został prezydentem. Podziękowanie wzięło się stąd, że w „Gazecie Wyborczej” rozpoczęło się usuwanie znaczka „Solidarności” z winiety „Gazety Wyborczej”, a ja pojechałem do Gdańska, do stoczni na wiec, któremu przewodniczył Wałęsa. I tam zrobiłem takie słynne jego zdjęcie, moje, które było kiedyś uznawane za ikoniczne, jak Wałęsa stoi w kufajce w pozycji napoleońskiej, na tej platformie, z której zawsze przemawiał. To zdjęcie jest uznawane za takie moje bardzo mocne, bardzo ważne zdjęcie i „Gazeta Wyborcza” to zdjęcie opublikowała z bardzo nieciekawym komentarzem. Nie wiem, w którym to numerze Gazety było, no ale to było w tych pierwszych czasach istnienia. I ten bardzo niekorzystny komentarz spowodował to, że ja wysłałem do Lecha Wałęsy telegram, że jestem autorem tego zdjęcia, ale nie jestem autorem tekstu pod zdjęciem, więc go przepraszam, że nie chciałem nigdy, żeby to zdjęcie zaistniało w takim kontekście. No i potem otrzymałem od niego taką odpowiedź. I potem jeszcze otrzymałem od niego już w czasach kampanii wyborczej taką chyba osobistą pocztówkę, w której on podziękowania do mnie kieruje. Nie pamiętam, czy to był 1988 r. To było pierwsze wydanie „Drogi nadziei”. Ono mogło być trochę wcześniej i mogło być robione... Wiem, że format tego wydania to było A5, to pamiętam, bo tych klisz w formacie A5 to wyprodukowałem sto kilkadziesiąt. Ale równie dobrze i książka, jak się ukazała, była wydrukowana, okładka była zielona i zdaje się, że część kartek w środku też mogło być zielonych, na zielonym papierze do sitodruku.